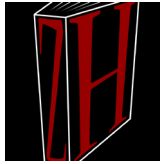


TADEUSZ
MESZKO

WINDA
DO
NIEBA

Autor ostrzega: książka nie dla obywateli pierwszego sortu
ani dla kłęczących na kościelnym grochu!

Patronat medialny



<https://zohawrylo.blogspot.com/>

TADEUSZ
MESZKO

**WINDA
DO
NIEBA**

Bydgoszcz 2018

WINDA DO NIEBA

Copyright © by Tadeusz Meszko 2018. All rights reserved

Redakcja i korekta beta-czytaczy: Beata Dżon, Heike Kinney, Małgorzata Studniarska, Mariusz Klonowski, Tadeusz Krajewski, Wiesław Marcysiak, Jan Nowak, Kuba Szatkowski

Skład: Tadeusz Meszko

Projekt okładki: Tadeusz Meszko

Fotografia na okładce: qimono, <https://pixabay.com>

Tłumaczenia tekstów: jeżeli nie podano inaczej tłumaczenie autora

Powieść jest fikcją literacką. Ewentualne podobieństwo postaci, zdarzeń, okoliczności nie jest zamierzone i może być jedynie przypadkowe.

Książka, którą czytasz, jest dziełem twórcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

ISBN: 978-83-935842-8-4

Wydawnictwo by TM

Wydanie I

Bydgoszcz 2018

E-mail: tadeuszmeszko@gmail.com

Strona autorska: <http://tadmeszko.com/>

Facebook: <https://www.facebook.com/TadeuszMeszko/>

Sklepik autorski: <https://books.tadmeszko.com/produkt/winda-do-nieba>

Spis treści

Część I

36900 km do Ziemi (orbita geostacjonarna)

Rozdział I. Welcome to the Jungle

Rozdział II. City Of Hope

Rozdział III. Knockin' on Heaven's Door

Rozdział IV. Yes, I'm A Witch

Cześć II

2000 km do Ziemi (jonosfera)

Rozdział V. Stairway to Heaven

Rozdział VI. Hero Of The Day

Rozdział VII. Alan's Psychedelic Breakfast

Rozdział VIII. The Show Must Go On

Rozdział IX. Private Investigation

Rozdział X. It's A Miracle

Rozdział XI. Vertigo

Rozdział XII. Cat Food

Rozdział XIII. If The World Was Flat

Rozdział XIV. The Gnome

Rozdział XV. Black Magic Woman

Rozdział XVI. Welcome to the Machine

Rozdział XVII. Eclipse

Rozdział XVIII. Heart and Soul

Cześć III
350 km do Ziemi (termosfera)

Rozdział XIX. Hungry Freaks, Daddy

Rozdział XX. Behind Closed Doors

Rozdział XXI. The Robots

Rozdział XXII. Blue Monday

Rozdział XXIII. Islands

Rozdział XXIV. Brain Damage

Rozdział XXV. Sabbath Bloody Sabbath

Rozdział XXVI. Eye in the Sky

Cześć IV
100 km do Ziemi (granica kosmosu – linia Karmna)

Rozdział XXVII. The Great Gig in the Sky

Rozdział XXVIII. One More Red Nightmare

Część I

36900 km do Ziemi

(orbita geostacjonarna)

Wstęp: Fallen Angel

Bart Greygallo spadał. A może nie spadał, a leżał naćpany w rynsztoku lub brał udział w wirtualnej grze, siedząc wygodnie w fotelu? Dzisiaj niemożliwe było odróżnienie fałszu od prawdy, złudzenia od rzeczywistości. Jednak to chyba nie była senna wizja. Po jego skroni spływała strużka krwi, a gdy dotarła do kącików ust, mimowolnie polizał ją, wyczuwając cierpki smak. Jeżeli krew była prawdziwa, to i upadek chyba był realny?

Ledwo kilka godzin temu marzył, aby wyrwać się z okowów grawitacji planety, zerknąć na nieosłonięte atmosferą nagie gwiazdy. W tej chwili czuł się bardziej samotny niż misjonarz w amazońskiej dżungli, żeglarz w rejsie dookoła świata, a nawet górnik na księżycu Urana. Nie miał dostępu do żadnego serwisu internetowego, nie mógł wybrać połączenia z jakąkolwiek osobą. Przed wyrzeleniem, kapsułę ratunkową zdewastowano, pozbawiając możliwości komunikacji. Stracił szansę bycia mądrym mądrością innych i chociaż czasami Internet czynił z niego głupca, to w większości przypadków pozwalał poszerzyć granice wiedzy. Na szczęście niektóre fakty miał wryte w pamięć.

Spadał w kapsule ratunkowej, obserwując na monitorach zarówno miejsce, z którego go wyrzuciono, jak i teren, gdzie się rozbije. Chyba jedynie cynizm oprawców sprawił, że pozostawiono sprawne kamery, aby mógł oglądać postęp upadku. Ale to jeszcze potrwa, spadał z wysokości 37 tysięcy kilometrów – z orbity geostacjonarnej stacji Top Level kosmicznej windy. To nie 39 kilome-

trów Felixa Baumgartnera czy 41 kilometrów Alana Eustace'a i kilka minut swobodnego spadania. Jego czekała długa – liczona w godzinach – droga do domu. Spadając z ich prędkością, na chwilę rozbiła się na kamiennym bruku czekałby ponad dobę. Jednak użyto działa magnetycznego i kapsuła została wystrzelona z szybkością kilka razy przekraczającą prędkość dźwięku. A to i tak ponad dziewięć godzin upadku, co beznamiętnie odliczał zegar.

Był uwięziony w elektromagnetycznym tunelu windy do nieba, skazany na ciągle przyglądanie się jednemu punktowi nad lub pod sobą. Musiał zdecydować, na co chce patrzeć. Oddalającą się stację kosmiczną windy i Księżyc, czy rosnącą kulę ziemską? Księżyc był w pełni, lecz pomimo tego, że znajdował się w odległości mniejszej o dziesięć procent od dystansu dzielącego go od Ziemi – wydawał się drobny. Zawieszony w pustce, jasnoszary punkt wielkości monety. Ziemia była większa, lecz wciąż pozostawała odległą, błękitno-białą kulą, z ledwo widocznym zarysem brązowawych kontynentów. Dopiero za kilka godzin wypełni pole jego wzroku i wtedy będzie mógł dostrzec trzy pylony windy oraz zabudowania Dawapolis. Lecz wcześniej minie stację Middle Level windy i przeleci przez Oko Boga.

Sprawdził poziom tlenu w kapsule. Nie straci przytomności z powodu problemów z oddychaniem, gdy wpadnie w atmosferę będzie świadomy. Wtedy kapsuła rozgrzeje się do czerwoności i, jak należy przypuszczać, szybciej spłonie niż rozbije się o ziemię. Uderzenie fali dźwiękowej usłyszą z pewnością wszyscy w mieście. Grom z nieba skłoni ich do uniesienia głów, wielu zauważy ognistą smugę. Może niektórzy wypowiedzą życzenie, biorąc go za spadającą gwiazdę? Czy był gwiazdą? Z pewnością nie. Jeszcze kilka tygodni temu był jednym z sześciu milionów obywateli miasta, na które spadał. Dlaczego więc spadał jak gwiazda? „Zdegustowany i zmęczony, przygnębiony, grzeszny, opętany – Bóg tylko wie od jak dawna”*.

Miał dużo czasu, aby się nad tym zastanowić... Mógł uznać, że spadanie zaczęło się ćwierć wieku temu, w dniu tragicznej śmierci rodziców. Lecz podążając tym tropem, mógłby powiedzieć, że zaczęło się już wcześniej – 47 lat temu, w dniu jego narodzin. Lub jeszcze wcześniej, gdy rodzice postanowili zamieszkać w mieście, aby ojciec mógł wziąć czynny udział w projekcie elektromagnetycznej windy kosmicznej ELSPEL**. Tylko że to też byłaby błędna droga.

* King Crimson, *Fallen Angel (Upadły anioł)*.

** ELSPEL – Electromagnetic Space Elevator (Elektromagnetyczna kosmiczna winda).

Ostatecznie zdecydował, że powód obecnego spadania nastąpił niecały miesiąc temu, kilka dni przed Wielkanocą 2069 roku. Dokładniej w Wielki Czwartek, kiedy ćwiczył na perkusji. Dzień jak co dzień. Pierwsze godziny nie zwiastowały radykalnej zmiany w jego życiu, lecz nim nadeszło Święto Zmartwychwstania, wszystko wywróciło się i już pędził nowym torem, początkowo nawet o tym nie wiedząc.

Rozdział II

City Of Hope

Masz zlecenie

Dalsze słuchanie kocie muzyki przerwała mu wiadomość od Urlicha. Prosił Barta, aby jak najszybciej zajrzał do jego lokalu. Nie znajdował się on zbyt daleko i po kilku minutach Bart przekroczył próg „Obst und Gemüse”. Dla turystów nazwa ta była myląca, ponieważ sugerowała sklep z owocami i warzywami, stali bywalcy jednak wiedzieli, że to najlepsza piwiarnia w mieście. Ulrich Schneider zapożyczył ją od nazwy sklepu w Berlinie na Oranienburger Straße, który po upadku muru przekształcono w wyszynk, nie zmieniając szyldu. Ulrich mieszkał przy tej ulicy i będąc chłopcem biegał do warzywniaka po ziemniaki i marchewkę. Natomiast później, już jako młodzieniec, chodził tam na piwo. Teraz miał 90 lat i nalewał piwo w Dawapolis.

– Jest drobne zlecenie – rzucił Ulrich, ledwo Bart rozsiadł się wygodnie przy barze w pobliżu rzędu nalewaków do piwa. Gospodarz wciąż wycierał kufle, jakby go nie widział. Co było tak pilnego, że nie mogło poczekać, aż przepłucze gardło? – skrzywił się Bart, rozglądając się po lokalu. Po sali krążyły walcowate roboty, czujnie wypatrujące pustych kufli, by dolać piwa, lecz Bart zawsze siadał przy nalewakach obsługiwanych przez człowieka. Co prawda musiałeś wtedy dłużej czekać, lecz mogłeś pogadać o pogodzie albo stłuczce clevercarów na rogu ulic. Teraz Bart stawił się tu na wezwanie samego właściciela, dlaczego więc ten zwlekał z obsługą?

– Chcesz, żebym ci pomógł, a nawet nie nalejesz mi piwa? – zapytał z wyrzutem. Powstrzymał jednak złość, gdyż piwiarnia Urlicha często zamawiała koncerty jego kapeli i Bart nie chciał zrazić mecenasa.

– Będziesz musiał polecieć kopterem – wyjaśnił Ulrich, wciąż nie sięgając po kufel. – Poza kopułę.

– Mam wyjść na deszcz? – zapytał z niedowierzaniem Bart, spoglądając tęsknie na nalewak. Urlich nie odpowiedział.

Do lokalu wszedł naraz niedźwiedź syryjski, ledwo mieszcząc się w drzwiach. Miał krótkie nogi, ale jego potężny korpus i duży łeb sprawiały, że mierzył grubo ponad dwa metry wzrostu. Kołysząc się na boki podszedł do baru i zasiadł na zbyt małym stolku, tak że fałdy tłuszczu spływały mu poza siedzenie. Prawą łapą wskazał na nalewak ciemnego piwa. Miał starannie wypielęgnowane, jasnobrązowe futro pachnące drogimi perfumami oraz pazury spiłowane na trzy centymetry. Zawieszony na jego szyi łańcuszek wskazywał, że należał do wypożyczalni zwierząt. Z tej odległości Bart nie mógł zobaczyć do której, ale tym gatunkiem niedźwiedzi dysponowały jedynie dwie wypożyczalnie: Benjamin Corbetta oraz Xiuqiu Shubiao.

Benjamin Corbett, rudy brodac, nigdy nie zdejmujący korkowego kapelusza, prowadził wypożyczalnię zwierząt domowych i egzotycznych na podwórzu restauracji „Smaki Afryki”. Bart zastanawiał się czasami, czy klienci Corbetta nie zamawiają zwierzaków na talerz, a nie do mierzenia skór. To niewykluczone... Jednak w większości interesowano się żywym towarem. Przeważnie wypożyczano je na szybki numer, lecz trafiali się prawdziwi miłośnicy przyrody, spędzający w skórze braci mniejszych cały weekend lub wakacje. Zadbane futro oraz manicure wskazywały na Xiuqiu, szarą myszkę biznesu. To, że jej zwierzaki nie miały pcheł i pachniały jaśminowym dezodorantem, nie świadczyło, że wypożyczała przytulanki do łóżka. Sprawa przedstawiała się dokładnie odwrotnie, to były dzikie zwierzęta, nie odpady z zoo jak u Corbetta. Kobięca natura nie pozwalała Xiuqiu udostępnić brudnych lub chorych zwierząt.

Urlich sięgnął po cynowy kufel i zaczął nalewać piwo dla niedźwiedzia, nadal ignorując Barta.

– Dlaczego mi to robisz? Masz z tego prowinę? – Bart wrócił do rozmowy.

– Nie, to przysługa. Prosił mnie o to mój ziomek. Berlińczyk. Głupie sentymenty...

– No to mów, o co chodzi.

– Taka jedna blöde Kuh ma kłopoty* – zaczął wyjaśniać szczegóły. – Przyjechała na pokaz mody i wyszła trochę pobiegać. Chłopak chciał zgłosić jej zaginięcie, lecz wyjaśniłem mu, że lepiej by było, gdyby odnalazł ją ktoś spoza poli-

* Blöde Kuh (niem.) – głupia krowa.

cji. Jak wiesz, oficjalne zgłoszenie zaginięcia poza kopułą nie jest mile widziane przez władze. Ty załatwisz sprawę dyskretnie.

Wyświetlił zdjęcie tej głupiej krowy. Miała przyjemną twarz i szczupłą sylwetkę oraz olbrzymi biust, ale w ocenie Barta była zbyt żyłasta. Zjadłaby dużą porcję lodów z bitą śmietaną, a nie biegła w terenie. I to jeszcze w deszczu.

– Chce brać udział w maratonie?

– Nie, przecież mówię, że to błöde Kuh. Uważa, że to korzystne dla zdrowia

– Ulrich zaśmiał się kwaśno.

Miał rację, uprawianie sportu niewiele miało wspólnego ze zdrowiem. Można było zbić fortunę, tylko że bez sterydów, dopalaczy, przetaczania krwi lub podrasowania genów, nikt nie był w stanie osiągnąć rekordowych wyników. Nawet bieganie na wyżynach, co pół wieku temu dawało Etiopczykom niesamowity handicap, dzisiaj nie wystarczało by odnosić sukcesy. Pozostawała zabawa w czysty sport, ale wtedy nie biegałeś i nie skakałeś na stadionach, bo przeciętne wyniki nikogo nie interesowały.

Ulrich podszedł z kuflem do niedźwiedzia, po czym zeskanował czytnikiem plakietkę naszyjnika. Dopiero wtedy postawił kufel na kontuarze przed spragnionym. Niedźwiedź oburącz chwycił szklanicę, błyskawicznie uniósł ją do pyska i z chlupotem wlał sobie piwo do gardła. Przetarł pysk łapą i głośno beknął. Urażony Ulrich spojrział z wyrzutem, a niedźwiedź uniósł obie łapy, przepraszając i zakrywając głowę. Pewnie chciał dostać drugie piwo i dlatego okazywał skruchę.

– Tam siedzi ten berlińczyk – Ulrich wskazał wystraszonego chudzielca w pstrokatym garniturze, z krawatem w różowe słoniki. – Powie ci dokładniej, co się stało.

Bart nie był tego pewien. Chłopak wydawał się przerażony. Ale chyba nie zniknięciem dziewczyny, a niedźwiedziem pijącym piwo.

– Co, co to jest??? – zaczął odpytywać Barta, gdy ten usiadł przy jego stoliku.

– Jakiś miłośnik natury w skórze zwierzaka przyszedł na piwo – odpowiedział spokojnie Bart, lecz to nie uspokoiło chłopaka. Nie we wszystkich krajach zezwalano na wypożyczanie ciał zwierząt ludziom. Ruch obrony zwierząt w Europie miał silną pozycję i takie usługi były tam zabronione.

– Widziałem coś podobnego w sieci, ale myślałem, że oni biegają wyłącznie po lasach...

Oj, człowieku, gdybyś ty wiedział do czego ludzie wykorzystują możliwość podpięcia się do mózgow zwierząt – pomyślał Bart. Napicie się piwa to

w sumie dla zwierzaka nic nowego, w lesie też można trafić na sfermentowane owoce i upić się w sztok. Po ulicach biegały nie tylko psy i koty, ale również lwy, nosorożce i słonie, a dinozaury zaglądały ci do okien. Każdy mógł przywdziać prawdziwą lub sztuczną skórę wilka czy owcy, lecz nie człowieka. W tym przypadku trójca mędrców religii jednego Boga okazywała się zgodna – tylko On mógł stworzyć człowieka. Roboty mogły chodzić na dwóch nogach, manipulować dwoma rękoma, rozglądać się, mówić, ale nie mogły upodabniać się do ludzi. Kończyny musiały być pokryte plastikiem, czaszka przypominać głowę bałwana, z marchewkowym nosem i oczami z węgla. Jedyny wyjątek stanowiło kalectwo. Wówczas mogłeś liczyć na kończynę pokrytą peptydową skórą, czy więzadła stawu kolanowego nie z tytanu – a z tytoniu. W szpitalach czy ośrodkach pomocy dla dzieci lub starców pacjentów obsługiwały postacie z bajek. Lecz zawsze ubrane. Ewentualnie z gęstym futrem ukrywającym atrybuty płci. Tak oczywiście przedstawiało się tzw. stanowisko oficjalne. Podziemie oferowało modele piękniejsze i o wiele sprawniejsze od ludzkich oryginałów. A jeśli nie chciałeś być bitym czy gwałconym przez roboty wyposażone w sztuczną inteligencję (lub samemu bić i gwałcić), mogłeś wypożyczyć ciało prawdziwego człowieka. W ofercie wypożyczalni Xiuqiu Shubiao byli też ludzie, w większości kobiety. Z certyfikatem zdrowotnym, wymuskane tak, jak wirtualna akwizytorka Kuchni.

Czy Bart, wiedząc o podobnym procederze, i nie informując o tym władz, był w porządku? Z pewnością nie. Powinien zgłosić wykorzystywanie zwierząt do zaspokajania wyrafinowanych fantazji i chuci, choćby takich, jak chęć przebieżki, by podczas galopu poczuć w grzywie pęd wiatru. Ale wiedział, że dopóki będą istniały pragnienia, będą też funkcjonowały wypożyczalnie.

W końcu mogli przejść do sedna sprawy, choć chłopak wciąż patrzył nieufnie w stronę baru.

Po kwadransie udało mu się wydobyć wszystkie potrzebne – jak i zbędne – informacje od roztrzęsionego chudzielca. Rowena Butler była Szkotką, pracowała w branży modowej i ceniła sobie aktywny wypoczynek, dlatego pomimo napiętego harmonogramu postanowiła pobiegać. Chudzielec przyznał, że nie zgodziła się na wszczęcie nakładki do osobistego komunikatora V-PC, pracującego na falach Dawapolis, gdyż należała do naturalistów.

Prawdziwa błode Kuh. Świat łączył się w systemie telefonii 9G na falach milimetrowych, który nie działał na terenie miasta, a nawet w odległości

wielu kilometrów poza okręgiem pylonów windy. Była to ciemna strona używania pola magnetycznego do wystrzelania wagonów windy na orbitę. Teoretycznie było one kierunkowe, wycelowane w niebo, jednak wciąż powstawały interferencje, które blokowały komunikację radiową. Miasto posiadało własny system łączności G-eleven pracujący na falach podczerwonych, którego nadajnik każdemu obywatelowi wszczepiano na stałe. Zrezygnowano z obrączek na przegubach rąk lub nóg, gdyż zbyt łatwo można było je ukraść, po czym wykorzystać do przeschumowania nielegalnych imigrantów. Wprowadzono bardziej szczelne – i drastyczne – metody. Chip, wstrzeliwany w kręgosłup, tuż przy szyi, też można było usunąć – tyle że razem z głową. To się zdarzało, lecz zdecydowanie zmniejszało ryzyko oszustwa. Zwłaszcza że chip nie działał u osób z DNA różnym od nosiciela. Odwiedzający miasto musieli go sobie zaaplikować, lecz naturaliści wzbraniali się przed zespalaniem mózgu z cybernetycznym łączem i wciąż używali zewnętrznych środków łączności.

Bart zastanowił się przez moment. Rowena z pewnością zabłądziła, raczej nie groził jej atak terrorystów. Chociaż doszło do tego w pobliżu sektora muzułmanów, nie powinni mieć nic przeciwko szczupłej, umięśnionej dziewczynie w trampkach. Wizja grona dziewic oczekujących w rajach nie wywoływała już u muzułmanów chęci mordu niewiernych. W ostatnich latach wykroili spory kawałek tortu dobrobytu świata zachodniego i teraz woleli odpoczywać w bujanych fotelach i oglądając reality show, niż ganiać z maczetami po ulicach. Zwłaszcza w czasie deszczu.

Nie znając terenu, kobieta mogła wyjść poza strefę miejską. Szukając jej i on będzie musiał opuścić granice miasta. A tego, o czym dobrze wiedział, nie lubiła policja. Wyjść z miasta mógł każdy, ale dostać się z powrotem nie było już tak łatwo. Bez osobistego identyfikatora – mission impossible, z identyfikatorem jedynie w wyznaczonych miejscach. Granicy pilnowały cerbery z niskim poziomem sztucznej inteligencji. Rozpознаwały kształt człowieka, co nie znaczyło, że natychmiast wstrzymywały ogień. Zwierzęta, roboty i różne pojazdy były ostrzeliwane ostrą amunicją, ludzie usypiającą. Bart powinien zgłosić zamiar przekroczenia granicy dobie przed faktem. Niewinne z pozoru zlecenie stawało się usługą kosztowną. Musiało objąć rekompensatę za wizytę na posterunku i wypełnienie niezliczonych formularzy w celu wyjaśnienia powodu wycieczki poza miasto. Przecież do końca miesiąca musiał zapłacić podatek od wiary. Dawapolis było bogate, każdemu obywatelowi dawało pen-

sję, pozwalającą na przeżycie. Jednak należało opłacić podatek od wyznawanej religii. A jeżeli nie wierzyłeś, lub wierzyłeś w bogów mniejszych, ściągano ci 25-procentowy haracz. Równie mało współczucia miał Bóg muzułmanów i żydów – żądał 15 procent. Bóg chrześcijan ograniczał się do przysłowiowej dziesięciny. Najlepiej mieli buddyści – odbierano im jedynie 5 procent. Bart już kilka razy zastanawiał się czy nie zostać buddystą, lecz chyba brakowało mu motywacji – z koniecznością zapłacenia podatków można żyć, gorzej bez przyjaciół, uważających, że każdy musi wierzyć w Boga.

Bart wypożyczył kopter i zgłosił policji zamiar wypadu poza teren miejski. Powołał się na paragraf mówiący o konieczności przeprowadzenia wizji lokalnej, zezwalający mu na bezzwłoczny lot. Pomogła licencja prywatnego detektywa, jednak po powrocie i tak będzie musiał się tłumaczyć. Zgłosił też obecność pasażera, podając dane Roweny. To powinno załatwić problem powrotu do miasta; dziewczyna posiadała miesięczną wizę. Mógł mieć jedynie nadzieję, że nie próbowała sama przekroczyć granicy. Jeżeli tak się stało, leżała teraz uśpiona, w pasie zaoranej ziemi strzeżonej przez cerbery. Ekipy sprzątające każdego ranka zbierały setki ciał chcących przedostać się do Dawapolis, po czym odwoziły uśpionych ludzi do obozów: etiopskiego Malkadida, kenijskiego Lafey lub somalijskiego Garbahaarey.

Wywołał podgląd map satelitarnych. Po obydwu stronach rzeki biegły wąskie ścieżki dla kóz i krów. Pokonując je można było widzieć krzewy i wijące się koryta rzeki. Nic szczególnego, woda była bura, a roślinność przyprószona siwizną piasku. Jedynie głupiec chciałby tutaj uprawiać jogging. Tylko że Rowena była blöde Kuh i mogła wybrać tę ścieżkę. Miał nadzieję, że nie zamierzała dobiec do miasteczka Dollow, bo wtedy trudno będzie ją odnaleźć. Jednak i to mogło przyjść jej do głowy, gdyż znajdował się tam jedyny most, którym dawało się przekroczyć rzekę w drodze powrotnej do Dawapolis. A niech gęś kopnie tę blöde Kuh! Postanowił zignorować złe scenariusze i przelecieć całą trasę do miasta. Dopiero gdy nie znajdzie dziewczyny po drodze, zacznie przeklinać.

Ustawił kopter na lot z minimalną prędkością i wypuścił drony z czujnikami termicznymi. Leciąły tyralierą w odległości stu metrów jeden od drugiego, po pięć z każdej strony. Nie było możliwości, aby przeoczyły ciało. Nawet jeżeli już nie żyła, temperatura włók wciąż była wysoka.

Przed Urlichem narzekał, że musi polecieć kopterem poza miasto, lecz tak naprawdę bardzo się z tego cieszył. Wreszcie mógł poczuć, że coś zależy od niego. Sterować maszyną ważącą blisko tonę, ruchem palca nakazać jej skręt w lewo lub w prawo. Ruchem przegubu dłoni podnieść, ewentualnie obniżyć pułap lotu. Mógł przyspieszyć lub nagle zatrzymać się.

Dopiero kilometr przed Dollow złapał sygnał człowieka. Zarejestrował go ostatni dron po lewej stronie. Daleko zбочyła od ścieżki. Raczej nie zablądziła, chyba szukała schronienia przed deszczem. Podleciał bliżej obiektu. To była ona, siedziała z podkulonymi nogami pod lichym drzewem, na które nawet koza nie chciałaby wskoczyć. Gdy włączył reflektor, uniosła głowę i zaczęła machać rękoma. Nie wstała. Dlaczego? – zastanowił się.

Nie było warunków do lądowania, dlatego wrócił ponad ścieżkę i zaczął szukać najbliższej polany. Znalazł ją dopiero dwieście metrów dalej, po prawej. Posadził kopter i wysiadł z kabiny. Czekał go niezły spacer w deszczu. Co prawda to nie był deszcz z *Deszczowej piosenki*, ale i tak do szczętu przemoknie. Drobnym kapuśniaczek wciskał się w każdą szczelinę. Zaciął sznurki kaptura i szybko ruszył przed siebie, prowadzony smugą światła jednego z dronów.

Dziewczynę odnalazł po pięciu minutach. Trzęsa się z zimna. Nie wyglądała jak głupia krowa, lecz zmoknięta kura. I to nastroszona. Była w żółtym podkoszulku, czerwonych szortach i pomarańczowych trampkach. W ogóle nie stosowała się do kolorów polecanych przez słońce.

– Co to za miejsce! Na całym świecie nie zgubisz się z Google, tylko u was to nie działa – zaczęła od pretensji wyrzucanych z przerwami przez zaciśnięte z zimna zęby.

– Naszym kompasem jest Oko Boga – zażartował, lecz chyba nie wyczuła ironii, bo spojrzała na niego jak na wariata. Blöde Kuh. – Wstań, pomogę ci założyć płaszcz przeciwdeszczowy – dodał ugodowo, wyciągając do niej rękę. Pochwyliła ją, jakby to było koło ratunkowe i niezdarnie uniosła się z ziemi. Gdy stanęła na prawej nodze, syknęła z bólu.

– Skręciłam kostkę, nie dam rady iść.

Mógł ją prowadzić, lecz wtedy powrót potrwałby pół godziny. Wybrał inne rozwiązanie.

– Wezmę cię na barana, szybciej dojdziemy do koptera. Już kazałem podkręcić ogrzewanie.

Spojrzała na niego ciepłej, lecz z pewną dozą nieufności.

– Dasz radę? Wyglądam na chudą, lecz jestem silnie umięśniona.

– Wskakuj! – rozkazał, przykucając.

Faktycznie, lekka nie była.

– Porozmawiaj ze mną – odezwała się, ledwo wymościła sobie wygodne gniazdko na jego plecach. Nawet przez płaszcz czuła ciepło jej ud, silnie zaciskających się w pasie. Trudno było ją zignorować.

– Nie znam się na modzie – uległ, próbując zachować resztki godności.

– To widzę – mruknęła cicho. Udał, że nie usłyszał jej komentarza. Czego chce od jego ubioru? Chodził w wygodnych, dzinsowych spodniach i flanelowej koszuli. Nie miał zamiaru korzystać z reklamowanych ciuchów.

– Czy to twoja ekipa wybrała kolory na lato? – spróbował jednak podtrzymać rozmowę.

– To słonica Eliza...

Przystanął.

– A ty nie masz zwichniętej kostki i możesz iść na własnych nogach.

Poczuł głębokie westchnięcie, wypychające jej piersi w jego plecy.

– Ale nie powiesz tego innym? – zapytała lekko zaniepokojona.

– Nie rozmawiam z nikim o modzie – mruknął.

– Jasne, że to my ustalamy trendy – odpowiedziała z niechęcią. – Robi to Ester Chanteloup, ja jestem jej asystentką.

– A skąd bierzecie takie dziwne kolory?

Odpowiedziała po krótkiej chwili namysłu.

– Bo ludzie lubią odmiany. Nowy partner, nowe mieszkanie, nowa praca – to wybory nie dla wszystkich. Ale każdy...

– Każda... – poprawił ją.

– Ale każdy... – obstawała przy swojej wersji – może zmienić ciuchy. A uwagę młodych, którzy stanowią połowę naszej klienteli, najłatwiej przyciągnąć radykalnymi zmianami.

– Jednego roku spódnice poniżej kolan, następnego centymetr poniżej paska stringów?

– To też – zgodziła się. – Chociaż tak radykalne zmiany wymagają dużego nakładu finansowego na promocję. By nakłonić kogoś do nowych zakupów, wystarczy zmiana modnych kolorów.

Dotarli do ścieżki. Do koptera pozostał już niewielki odcinek drogi, powinien dać radę ją donieść.

– Powiedz coś o sobie. Co robisz w Dawapolis?

– Widzisz smugi szybu windy do gwiazd? – wskazał głową za siebie.
– Jestem jej odzwiercym.

– To takie trywialne... – zaśmiała się. – Do gwiazd prościej można dostać się używając magii. Tylko po co? Tam jest nudno.

– Nie mów podobnych bzdur, gdy siedzisz na moich plecach – warknął ze złością. Po co brał ten ciężar na grzbiet? Znow dał się skusić. Nie była nawet ładna, chociaż zgrabna jak cholera. Czy to, że miała piersi i długie nogi zbiegające się w magicznym punkcie, wystarczyło, aby wciąż ulegał pokusom, tracąc rozsądek?

– O, realista. Nie wierzysz w magię? – Chyba czuła się już lepiej i zaczęła kąsać. Może zrzucić ją w błoto? To nie była blöde Kuh, a kolejna idiotka, żyjąca w oparach średniowiecza. Dwudziesty pierwszy wiek – cóż to za porąbana epoka! Coraz więcej osób uciekało ze świata codziennego. Połowa ludzkości żyła w światach wirtualnych, walcząc ze smokami, przyrządzając mikstury oferujące miłość lub nieśmiertelność. Pozostali szukali cudów wokół siebie, modląc się do Boga lub bogów. Bart miał wrażenie, że historia zatoczyła koło. Tylko dłaczego wróciła do czasów legend arturiańskich, runów nordyckich czy skandynawskich, a nie na przykład do greckich myślicieli?

Spróbował wyjaśnić blöde Kuh czym jest magia:

– Tak naprawdę magiczna jest chwila, w której spadające jabłko pomaga nam pojąć prawa fizyki. Magią jest umiejętność przekucia kotłujących się w głowie myśli w wiersz. Magia to także pociągnięcie pędzla, kreujące rzeczywistość głębszą od tej, jaka nas otacza. Ale wypowiedanie czarnoksięskiej formułki i machanie różdżką w nadziei dokonania czarów, jest głupotą.

– Jesteś mugolem, nie znasz się na czarach. Wierzysz tylko w to, co widzisz.

– To nieprawda. Wierzę, że atom składa się z cząstek elementarnych, chociaż ich nie dostrzegam. Wierzę, że prąd elektryczny dociera do mnie dzięki falom elektromagnetycznym. Powiem ci nawet, że wierzę w istnienie inteligentnego życia na innych planetach, mimo że nie mam na to żadnych dowodów. Ale to, w co ty wierzysz, to jedynie życzenia. Nie wiem dlaczego ucie-

kasz w świat ułudy, zamiast zmierzyć się z rzeczywistością, ale jestem pewny, że gdyby w twojej głowie pogrzebał psychiatra, znalazłby tam sporo śmieci.

Nie odpowiedziała. Widocznie wyczuła w nim kipiące złością pokłady lawy i wołała nie wywoływać erupcji.

Na szczęście doszli już do koptera. Wrzucił ją do środka i wystartował bez słowa.

Na posterunku

12 kwietnia, Wielki Piątek

– Wyszedł pan poza kopułę? Na deszcz?! Tylko wariat jest do tego zdolny! – policjant go nie słuchał. – Nie rozumiem. Ostrzega się ludzi kilka godzin przed ulewą, a oni wychodzą na spacer poza kopułę. Czy wie pan, ile kosztuje system parasoli?

Bart odstawił już blöde Kuh do hotelu, zainkasował honorarium, a później – nie odkładając tego na następny dzień, chociaż było już prawie rano – zjawił się na posterunku, gotów do zmierzenia się z biurokracją. Teraz zaczynał tego żałować.

– Był pan kiedyś na deszczu? – zapytał z westchnieniem znużenia.

– Czy wyglądam na takiego? Co to za insynuacje! – zaprotestował policjant, wypinając pierś obleczoną w mundur, jakby chciał podkreślić powagę urzędu, który reprezentował. W tej sytuacji Bart mógł paść przed nim na kolana albo, wręcz odwrotnie, zaatakować. Policjantowi na szczęście nie chciało się przeglądać zapisów pamięci podręcznej V-PC. Był zmęczony i po prostu czekał na koniec dyżuru. Na to liczył Bart, wybierając porę wizyty. Postanowił zaryzykować.

– Jestem wyznawcą Kościoła Łzy Bożej – odpowiedział hardo, starając się, aby ton jego głosu nie zabrzmiał fałszywie. Chyba się udało... Policjant, z otwartą gębą, gotową do wystrzelenia następnej reprimendy, zamilkł, nie myśląc nawet o sprawdzeniu, czy taki Kościół figuruje na liście oficjalnych denominacji. Aby podbić jeszcze efekt, Bart pociągnął temat, grając na delikatnych strunach ryzyka: – Uważamy, że krople deszczu to Boże łzy i w czasie opadów zawsze staramy się znaleźć jak najbliżej Pana.

Policjant zamilkł. Pokiwał ze zrozumieniem głową i rzekł potulnie:

– Przepraszam, zapomniałem o tym, że każda wiara ma swoje rytuały. Sam należę do Kościoła Drzewa Łaski Wiekuistej i wiem jak trudno religiom o mniejszej liczbie wyznawców przebić się do świadomości ogółu. My też mamy problem z oddawaniem czci Bogu. Jedynie trzy razy w roku otrzymujemy zezwolenie na wyjście poza granice miasta, by odprawić mszę dziękczynną przy Drzewie Prawdy Ostatecznej. Wiosną, gdy rodzi się nowe wciele- nia Boga; latem, gdy możemy zebrać i spożyć owoce jego ciała; i jesienią, dzie- kując mu za opiekę i pomagając odpocząć w trudnym czasie. Może zechce pan nas wesprzeć? – wysunął przegub, chcąc przekazać Bartowi formularz wpisu do jego Kościoła. Na wszelki wypadek Bart zdjął dłonie z blatu biurka.

Policjant poczuł się urażony i skupił uwagę na dokumentach.

– Pana rodzice pochodzili z Polski...? – zapytał po dłuższej chwili milcze- nia.

– Takiego kraju już nie ma. Został podzielony na Śląsk, Pomorze i... Jezu- sowe Królestwo Polski.

– Dlaczego rodzice uciekli z kraju, który jest tak blisko Boga?

– Dla wielu – zbyt blisko. To kraj wyznawców religii smoleńskiej. W tym tygodniu po raz 708 celebrowano miesięczkę śmierci (mówię: miesięczkę, a nie miesięcznicę, gdyż objawia się ona irracjonalnymi zachowaniami) nowego pol- skiego kandydata na Boga – Lecha Kaczyńskiego. Może pan o nim słyszał?

– Nie, chyba nie... Czy jest świętym? – dopytywał się policjant. Na jego twarzy było widać autentyczne zainteresowanie. Jak to dobrze nic nie wiedzieć o historii Polski – pomyślał z zazdrością Bart. On nie miał takiej szansy, jego matka Eleonora była historyczką specjalizującą się w najnowszej historii tego szalonego kraju. I chociaż nie zmuszała go do czytania swoich książek, to cią- głe o nich mówiła.

– W tym właśnie cały ambaras, że jeszcze nie. Ale polski rząd uważa, że to diabelski spisek, gdyż już co najmniej od 708 miesięcy powinien nim być.

– To kim był ten Lech Kaczyński?

Bart wzruszył ramionami.

– Nikim. Ale miał zawistnego brata bliźniaka i grupę przyjaciół z obses- jami, którzy uznali, że Kaczyński powinien być pierwszym po Bogu, bo wtedy i oni staną się kimś ważnym, a nie tylko moralnym i intelektualnym gównem. Przejęli władzę w 2015 roku i od tamtej pory walczą, aby posadzić Lecha na tronie po prawicy Boga, najlepiej na miejscu Jezusa – Bart wyrzucił z siebie całą pokoleniową gorycz. Jak się okazało, niepotrzebnie, gdyż policjant nic nie

zrozumiał. No cóż, powinien się już do tego przyzwyczaić, że historia Polski wymyka się jakimkolwiek próbom zrozumienia, bo rządzi się fobiami, zawiściami i pragnieniem zemsty. Nie wiadomo nawet, czy Szekspir zdołałby to opisać w swojej sztuce *Być albo nie być Polakiem*. Bart niestety wciąż miał nadzieję, że ktoś z zewnątrz zdoła to pojąć. Całkowicie iluzoryczne przekonanie. Musiał to powiedzieć dobitniej, rezygnując z dygresji historycznych. Ostatecznie chodziło o to, aby odwieść policjanta od wymierzenia mu kary.

– W Polsce dominuje ortodoksyjny katolicyzm smoleński, a wszelkie odstępstwa od wiary w prawdę Kaczyńskiego są z całą surowością piętnowane. Tak więc niech pan już mnie nie pyta, dlaczego moi rodzice wyemigrowali...

– No tak, nie wiedziałem – odpowiedział, głęboko poruszony. – Teraz pana rozumiem, chociaż zawsze uważałem, że katolicyzm opiera się na zdroworozsądkowych zasadach.

Bart miał ochotę wykrzyknąć, że katolicyzm nigdy i nigdzie nie był zdroworozsądkowy, lecz jeszcze bardziej chciał wziąć prysznic. Dlatego, udając zrezygnowanie, powiedział z bólem w głosie:

– Teraz już pan wie, jaki jest katolicyzm w Jezusowym Królestwie Polski.

A po chwili, z miną niewinnego baranka, zapytał:

– Mogę odejść?

Policjant zatopił wzrok w dokumentach, a potem, cedząc słowa przez zęby, rzucił cicho:

– Niech pan już znika. Nie było sprawy. Skasuję dane...